

WOJCIECH BYLINA

Fragmenty artykułu zamieszczonego w „Nowej Kulturze” nr 5

A JEDNAK BOHATERSKI...

W numerach 45, 46 i 47 emigracyjnej paryskiej „Kultury” pan generał dr Felician Sławoj - Składkowski, ostatni premier sanacyjny, ogłosił pamiętnik z czasów swojego premierowania. Tytuł wybrał sobie skromny: „Opowieści administracyjne, czyli pamiętnik niebohaterski”.

Nieładnie, aczkolwiek łatwo, jest wyśmiewać czyjąś ułomność. Toteż nieładnie — aczkolwiek łatwo — jest pisać, że pan generał dr Felician Sławoj - Składkowski, ostatni premier sanacyjny, był znanym i uznanym od dawna balwanem. Przecież tę znaną powszechnie w Polsce prawdę przypieczętował on już swoimi słynnymi „Strzępami meldunków”, w której to książce — wbrew własnemu zamiarom — pokazał nam Piłsudskiego w postaci soldafona trzymającego całe najbliższe otoczenie „za mordę”, pomiatającego jak psem nawet tak wiernym sługą, jakim był mu sam pan generał, obojętnego na losy Polski, zaślepionego przez żądnię władzy, nieubłaganego wroga polskiego ludu pracującego, męża opatrnościowego burżuazji polskiej (której niesławny koniec zdołał zresztą tylko odwieść, ale nie potrafił mu zapobiec).

Toteż nie po to piszemy te słowa, aby wyśmiewać autora „Pamiętnika niebohaterskiego”. Ale jeśli balwan był premierem, jeśli jego premierowanie tak się skończyło, a nie inaczej, i jeśli balwan zamiast prosić boga, aby świat o nim zapomniał, pisze i drukuje wspomnienia o swoim balwaństwie — to już trudno, czujemy się zwolnieni od obowiązku nieznanca się nad kalekami. Jako satysfakcję dajemy panu generałowi doktorowi F. Sławoj - Składkowskiemu tytuł niniejszego artykułu, bo bez obłudy uważamy, że wyjście z tym pamiętnikiem na światło dzienne w roku 1951, to akt nie pozbawiony odwagi.

Swoją pamiętnik zaczyna pan generał od westchnienia.

„Pojawiają się coraz to nowe Pamiętniki... Autorzy ich różną prosto z mostu... że przecież wszystko, co oni robili, było mądre, dobre... Ach, jakże chciałbym umieć pisać takie pamiętniki! Ale cóż, człowiekiem jestem prosty i za nie mi nie wychodzi! Umieję, niestety, tylko pisać tak, jak było! Blade to i nie bohaterskie i nie „na miarę meża stanu”. Ale czym chata bogata...”

Posłuchajmy tedy, bo warto, czym bogata pana sławojowa chata...

W połowie maja 1936 roku pan generał czuł się nieszczerze — osłabienie serca, o czym myśmy wtedy nie wiedzieli. Był tak dalece osłabiony, że — jak pisze — w pierwszą rocznicę śmierci Piłsudskiego nie mógł o własnych siłach „dowieść taczki ziemi” na Sowiniec. Pomimo tego osłabienia musiał pracować z dwójką — Smigłym-Rydzem, „ukończony uczeń” i „następca” Piłsudskiego, nawet nie pofatygowany się osobiście na Sowiniec w rocznicę, polecając panu generałowi aby go tam „reprezentował”; resztę „reprezentacji” zwał na spóźnionych do grobu Piłsudskiego Strzelców i urzędników państwowych. Podobnie zresztą postąpił prezydent Mościcki, zdając się na ministra Kwiatkowskiego.

Jakoś tam z tymi taczkami „pomogli kole-dzy - legionści” i 13 maja rano pan generał był już w Warszawie. Ledwo wrócił — telefon: zameldować się u Smigłego-Rydzia. Rozmowa krótka, tak zwana „żołnierska”.

„Bez żadnych wstępów oświadczył mi, że premier Kościłkowski podał się do dymisji i że pan prezydent Rzplitej, w porozumieniu z generałem (Smigły był jeszcze generałem broni — W. B.) postanowił powierzyć mi uformowanie rządu. Dodał z uśmiechem, że kosztowało go „nieco” trudności przekonać Pana Prezydenta o celowości powołania mnie na prezesa rady ministrów...”

Po chwili okazało się z rozmowy, że „Pan Prezydent uzgodnił z generałem Smigłym szereg kandydatur ministerialnych, tak, że nie obsadzone zostały jedynie teki ministra spraw wewnętrznych i ministra pracy i opieki społecznej”.

Nie dowiemy się chyba nigdy szczegółów rozmowy na Zamku, ale musiało to być słuchowisko godne bogów: jeden mędrzec przekonujący drugiego, że trzeciego należy zrobić premierem. Ale wróćmy do tego ostatniego.

„mleczalem i mocowałem się z myślami, choć czułem, że siłą samego nawyku posłuszeństwa potraktować powinienem propozycję generała jako rozkaz...”

Toteż „mocowanie się” trwało kilka — może kilkanaście — sekund.

„No, cóż pan na to? — spytał generał z uśmiechem... Rozkaz, panie generale — działo się odpowiedziałem...”

Potem pan generał Sławoj - Składkowski zdobył się na akt heroiczny (również po krótkim mocowaniu się i przezwyciężeniu oporów ze strony nawykowej do rozkazów natury). Ponieważ z układaniem listy rządu mało miał kłopotu — Smigły i Mościcki wyreczyli go — postanowił sam obsadzić aż 50 proc. wakuujących stanowisk ministerialnych to

jest jedno. Zaproponował Smigłemu, że oprócz stanowiska premiera obejmie tekę ministra spraw wewnętrznych.

„Da mi to możność bezpośredniego oprowadzania sprawy bezpieczeństwa w państwie i wywierania stałego wpływu na życie wewnętrzne Polski...”

Nie wiemy, czy w Smigłym zatliła się na chwilę wątpliwość skądinąd iskra zdrowego rozsądku, czy też może raczej miał już w zanadrzu innego kandydata również na tę tekę, ale skrzywił się niedwuznacznie.

„musi pan przekonać o tym Pana Prezydenta, gdyż już kandydatura pana na premiera przeszła z trudnościami”.

Jednak, co opinia, to opinia. Jak widzimy — w ocenie walorów umysłowych pana generała wyjątkowo nie było zbyt wielkich rozdzźwięków między Zamkiem a narodem.

Nowy premier wyszedł od Rydzia, żeby udać się na Zamek. Przedtem wpadła do kil-



Podczas gdy kraj zaprzędany całkowicie kapitałowi zagranicznemu, loczył się ku upadkowi, sfery rządzące spędzały czas na rautach i balach.

ku znajomych (ma jeszcze godzinę czasu), bo „trzeba przecież coś wiedzieć o sytuacji ogólnej przed zameldowaniem się na Zamku”. (Przesada, panie generale, na Zamku też o niej już nie wiedzieli i jakoś „prezydentowali” już jedenasty rok...)

Teraz kolej na rozmaitą wizytę „bardziej lub mniej formalną”. Wszystkie one — według opisu pana generała — idą jak z piatką, po prostu nikt nie mówi nowemu premierowi nic interesującego, same banały i ogólniki. I tylko jeden z wizytowanych jest „konkretny” i „realny”:

„Kardynał Kakowski oświadczył radość z powodu objęcia przeze mnie rządów, wyrażając nadzieję na dalsze celowe, planowe i owocne zwalczanie przeze mnie komunizmu...”

Uskrzydłony i pokrzepiony na duchu, generał - premier stanął przed sejmem. Jako że był to sejm mianowańców sanacyjnych, przeto pan premier ograniczył się do zakomunikowania p. p. posłom o swoim „wyjściu na patrol z rozkazu Smigłego”. (Trudno powstrzymać się od nawiasowej uwagi, że poziom rządu został trafnie scharakteryzowany przez tę metaforę, tylko że jak na patrol — trwał on trochę zbyt długo...)

Ze swoim sejmem nie miał dowódca patrolu zbyt wielkich kłopotów. Jako jedyne przemówienie „opozycyjne” wspomina fakt, że jakiś poseł

„próbował zażartować, iż nie mam czasu na zagadnienia ogólne - państwowe, gdyż muszę zajmować się śmiećkami i „sławojkami”, co wywołało ogólny śmiech aprobaty dla figlarza. Wstałem z miejsca i zaryzykowałem...”

Nie będziemy cytowali, co dowódca patrolu zaręczał, wystarczy, że „opozycyjne” przemówienie „zostało złamane”. W ogóle — już to z drobnymi przeszkodami w pracy nasz generał umiał sobie radzić, jak mało kto.

„...powierzylem na stałe załatwianie moich spraw poselskich w Sejmie, Senacie, ministerstwach i terenie, radcy Pełko z sekretariatu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Bezpośrednich telefonów z miasta w nocy nie przyjmowałem... Parę razy, koło trzeciej, czwartej nad ranem uprzejmy głos „proponował mi niezwłoczny przyjazd do restauracji, celem... obejrzenia ubikacji, które nie są w porządku... (inni) mówili do słuchawki mniej więcej tak: Sławoj, bodaj cię cholera jasna trzasła z tym twoim byczko jest!”

Nieoceniony dowódca patrolu, który dzisiaj już się nie boi własnych cenzorów, pisze w innym miejscu:

„Wpływy komunistyczne nie zatrzymały się jedynie na bezrobotnych. Usiłowali oni osiągnąć również do mas pracujących, zarówno fizycznie, jak umysłowo... Wtargnęli (o zgrozo! — W. B.) do tak ideowej organizacji jak Związek Nauczycielstwa Polskiego... Aresztowania i rewizje, przepro-

wadzone u tych agentów komunistycznych uważane były przez społeczeństwo polskie jako „stupajkowe” postępowanie żywiołowych reakcyjnych. Urzędnicy państwowi i administracja samorządowa byli również pod destrukcyjnym wpływem ciągłych objawów niezadowolenia, niepokojów i strajków. Wójtowie i sołtysi po wslach rzekali się swych godności pod wpływem presji moralnej elementów radykalnych... Niżsi urzędnicy państwowi i samorządowi twierdzili po cichu, iż przewrót bolszewicki, gdyby nawet nastąpił, to nie pozbawiłby ich chleba, bo oni są mali i nikogo nie gnębią. Policja była zdeorientowana i poniżana ciągłymi groźbami bezrobotnych i demonstrujących w ośrodkach miejskich. W Zagłębiu węglowym, szczególnie w okolicach Chrzanowa, policja była gromadnie obrzucana kamieniami przez całą ludność, gdy usiłowała odpędzić bezrobotnych, kopających węgiel na tzw. biedaszybach... Wszystkie miasta były świadkami częstych, niespodziewanych organizowanych demonstracji ludności, żądających pracy i chleba (to dopiero zuchwałość! żądać pracy i chleba!

Ostatni koncert CHOPINA

Dzieła

mówią o artyście

Wrażenia z wystawy pośmiertnej
ADAMA HANNYTKIEWICZA

Wiosną 1847 roku Chopin rozstał się z ułmowaną przyjaciółką George Sand. Tego lata nie pojechał już do jej letniej rezydencji — Nohant. Rozstanie przeżywał ciężko. Zapadł na zdrowiu, przestał komponować i rzadko wychodził z domu. Lato spędził w Paryżu, gdzie w samotności wspominał chwile przeżyte z kochaną kobietą. Ból niespodziewanej rozłąki powierzał fortepianowi, wypłakiwał na nim cały swój bezbrzeżny żal. Ale na wysiłek twórczy nie mógł się zdobyć, nie mógł rozwijać swych skrzydeł do dalszych wzniołów. Nie wiedząc co począć z sobą, snuł plany wyjazdu z ówczesnej stolicy świata. Leżał przeważnie w łóżku, przestał udzielać lekcji, przyjmował tylko tych, których obdarzał szczególnym szacunkiem lub wyjątkową przyjaźnią.

Odwiedzali go wówczas: Norwid, Delacroix, Delfina Potocka, Maria Kalergis, Marcelina Czartoryska i Szkotka — Jene Stirling. Specjalną opieką otaczali go — Czartoryska, zjawiająca się w pobliżu Chopina w nieszczęśliwych okresach jego życia, oraz niezwykle piękna uczennica mistrza tonów, wspomniana już Jene Stirling, ubóstwiająca wprost swego nauczyciela. Jene Stirling i jej siostra Lady Erskine proponowały Chopinowi wyjazd do Anglii i Szkocji na szereg koncertów oraz dłuższy odpoczynek w ich majątku, gdzie zdaniem ich czułby się tak jak w domu. Chopin przyjął zaproszenie z wdzięcznością — lubił bowiem spokój, a w Paryżu wzbierała rewolucja, widać coraz bardziej, zanosiło się na rozruchy. Król Filip czuł się nieswojo. Wokół jego siedziby wzmocniono strażę.

Czuła opieka czterech kobiet — Czartoryskiej, Kalergis, Potockiej i Stirling nie pozostała bez dodatniego wpływu na samopoczucie Chopina. Powoli otrząsał się z bezwładu, zaczął wstawać i chociaż był cieniem człowieka, mógł już tworzyć. Odwiedzający go Norwid, pracujący jako zwykły drwal w Fontainebleau, boleł nad nim szczerze, stwierdzając, że „naszelną nasz artysta bardzo już niedomaga. Często puchną mu nogi, nie może wiele chodzić i brak mu tchu.”

W takim to będąc stanie, Chopin zdecydował się wystąpić w Paryżu z ostatnim, pożegnalnym koncertem, by zebrać trochę pieniędzy na podróż do Anglii. Ustalono, że koncert odbędzie się w dniu 16 lutego 1848 roku wieczorem

w tej samej sali Pleyela, gdzie przed 18 laty odniósł Chopin swój wielki sukces w czasie pierwszego wystąpienia w Paryżu. Obecny wówczas na koncercie Liszt doznał największego w swym życiu wstrząsu duchowego. Teraz Liszt zarabiał na koncercie 40 000 franków, grając często, a Chopin grał rzadko, utrzymując się z lekcji i dających mu miesięcznie przeciętnie 2000 franków.

W ów wieczór, 16 lutego 1848 roku, sala Pleyela była pięknie udekorowana kwiatami. Wypełniła ją najwytworniejsza publiczność w liczbie około 300 osób. Wszystkie bilety wykupione były już tydzień przed koncertem. Para królewska nabyła 20, książę na Orleanu 10, księżę Montpensier — 10 biletów. Z rodziny królewskiej nikt jednak nie zjawił się. Lęk przed rewolucją zatrzymał wszystkich w zamku.

Program obejmował w części pierwszej: Trio Mozarta na fortepian, skrzypce i wiolonczelę w wykonaniu Chopina, Alarda i Franchomme'a, arie i pieśni śpiewane przez Antonie Molina di Mondy oraz „Nocturn”, „Barcarolę”, „Etude” i „Kolysankę” w wykonaniu kompozytora — Fryderyka Chopina. W części drugiej, prócz nowej arii z opery Meyerbeera „Robert Diabeł”, śpiewanej przez Rogera, program przewidywał „Scherzo, Adagio i Finale Sonaty G-moll” na fortepian i wiolonczelę, w wy-



konaniu kompozytora Chopina i Franchomme'a. W końcu mistrz Chopin grał również własnej kompozycji preludia, mazurki i walce. Akompaniowali panowie: Aubary i de Garande.

Na chwilę przed rozpoczęciem koncertu salę zaległa uroczysta cisza. W atmosferze nerwowego wyczekiwania czuło się już nieuchwytny czar,

jaki rozciągał wokół siebie genialny mistrz tonów. Pogasił światła.

Chopin ukazał się na estradzie. Był blady i wycieńczony Choroba i ostatnie przeżycia pogłębiły bruzdy na jego uduchowionej twarzy. Złożył publiczności piękny, pełen gracji ułkon, usiadł przy fortepianie i dyskretnie rozejrzał się po sali. Trzysta ciekawych spojrzeń, wyrażających żal, podziw, współczucie i zachwyt — skierowało się na niego. A on szukał tylko jednej pary oczu — czarnych źrenic George Sand. Dla niej chciał zagrać Barcarolę i utworem tym przypomnieć jej dni minionego szczęścia. Na koncert ten przygotował dla niej również dwa preludia — E-moll i H-moll — tchnące niewypowiedzianą tęsknotą i żalem. Ustawnie jednak na sali nie było.

I tym razem pokazał Chopin wytworną publiczność paryskiej grę najwyższej klasy, grę pełną cudnej poezji i niewysłowionego czaru. Gra jego nie miała w sobie nic z demonicznej siły i ekspresji tak charakterystycznej dla Liszta — Chopin miał uderzenia nadzwyczaj miękkie, zdawało się, że pieścił klawisze, wydobywał spod nich tony pełne lecz delikatne, czasami tak ciche jak brzęczenie skrzydeł komara, czasami silne i twarde.

Koncert bardzo wyczerpał mistrza. Gdy skończył — dołócił się ostatkiem sił do gabinetu przyległego do sceny. Tam zemdlał i już nie słyszał spontanicznych okrzyków i braw rozentuzjasmowanych słuchaczy; nie słyszał wielokrotnego wywoływania go na estradę. W ów wieczór Chopin dał z siebie wszystko na co go było stać — wznosił się na najwyższy poziom.

Jak przyjęła ówczesna krytyka pożegnalny koncert Chopina?

Paryska „Gazette Musicale” zamieściła recenzję, w której czytamy: „Sylf wypowiedział się cały. Entuzjazm, jakim go darzono i atmosfera pełna uduchowionej poezji, jaka panowała na sali, dała się jeszcze opisać, ale niesposób wyrazić słowami niezłębionej tajemnicy i piękna gry Chopina, bo podobnej nie słyszano jeszcze na ziemi. Trudno ją analizować, trudno pojąć. Gra jego jest tak pełna uduchowania, że słuchający jej jakby w innym świecie”.

Henryk Heine nazywał Chopina „Rafaelem fortepianu” któremu w improwizacji pełnej niewysłowionego czaru i porzezi, żaden wirtuoz sprostać nie może. Chopin jako „poeta fortepianu” jest największy, jedyny i nieporównany. Gdy Liszt gra, nikt przy nim wszyscy pianiści Europy z wyjątkiem jednego tylko Chopina.

Teofil Gautier — osobisty przyjaciel Chopina i Liszta — pisał w tygodniku „La Presse”:



„Chopin to nie tylko jeden z trzech czy czterech najsławniejszych fortepianistów swojej epoki, to przede wszystkim kompozytor obdarzony geniuszem rzeczywistym indywidualnym. Nadobny wdzięk, tęskna zaduma, wszystko nacechowane w najwyższym stopniu namiętną poezją, czynią z najdrobniejszych utworów Chopina rzeczy wytworne i cenne”.

Sławny krytyk, Jules Janin wypowiedział swe uwagi w „Journal des Debats”: „Chopin to uosobienie muzyki i natchnienia, ledwo dotyka ziemi, po której my stąpamy, a talent jego podobny jest do marzenia. Tylko ci, którzy go słyszeli mogą mieć pojęcie o tym talencie, tak subtelny i wytwornym, a tak jednocześnie urozmaiconym. Talent Chopina przemawia do najsłabszych, najwznieśliwszych stron duszy ludzkiej. Jak inni poszukują, tak on unika wszystkiego, co jest wrzawą, reklamą czy rozgłosem. Słusznie nazywano go „Rafaelem fortepianu”.

W tydzień po ostatnim koncercie Chopina abdykował Ludwik Filip, a wkrótce potem w Paryżu wybuchła rewolucja. Zaczynała się „Wiosna Ludów”.

W kwietniu Chopin wyjechał do Anglii i Szkocji, skąd po kilku miesiącach wrócił nad Sekwanę już śmiertelnie chory.

Kazimierz Paszkowski

impresjonizmu, nie wyzwolił się spod jego wpływu do końca swego życia, lecz od impresjonistów różni go większa czytelność, jasność i konkretność form. Nie zatraca malowanych przedmiotów w kolorystycznej orgii czy chaosie barwnych punktów i plam — maluje miękko i delikatnie, dostrzegając zawsze całość tematu, a nie wybrany tylko fragment. Każdą jego pracę cechuje sumienne wykończenie, każdy temat ujmując inaczej, unikając schematyzmu i broniąc się przed manierą.

Do najciekawszych prac, znajdujących się na wystawie, zaliczyć trzeba tchnących flamandzką szkołą „Koszykarzy”, doskonale w charakterze i barwie portrety prof. dra Znanieckiego, dr E. Znanieckiej, „Helenki”, ob P. N., wspaniały w barwie i kompozycji akt Murzynki, ciekawy w ujęciu „Kierat”, pełna nastroju „Uliczka w Paryżu”, silny w wyrazie „Pachciarz z Drohobycza”...

Ale Hannytkiewicz był nie tylko plastykiem-twórcą — był również organizatorem i pedagogiem. Chociaż urodził się w Krakowie, sercem przynależał do Poznania i tutaj przeżył długie lata. W okresie międzywojennym założył i prowadził w Poznaniu szkołę malarstwa pod nazwą „Instytut Sztuk Pięknych”, oraz należał do założycieli grupy artystów „Plastyka”. Po wojnie zorganizował szkołę w Sędziszowie, pełniąc w niej funkcję dyrektora. Powołany w końcu na stanowisko profesora Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych we Wrocławiu wydatnie przyczynił się do uruchomienia tej placówki. W ciężkich warunkach zorganizował pierwszą polską wystawę prac plastyków dolnośląskich we Wrocławiu. Przedwczesna śmierć przeżyła w roku 1946 jego owocną działalność dla Polski Ludowej. Odszedł w pełni rozkwitu sił twórczych i organizacyjnego rozmachu.

Oceniając twórczość Hannytkiewicza, nie można zapominać, że najpłodniejszy okres jego życia przypadł na czasy międzywojenne, że tworzył w warunkach innego pojmowania celów i zadań sztuki. Był przedstawicielem tej grupy artystów, która holdowała hasłu sztuki dla sztuki. Jak większość artystów starszego pokolenia uciekał od zgiełku życiowego, tworzył w ciszy i samotności, oderwany od problemów nurtujących w szerokiej kręgach społecznych. Nie był człowiekiem czynu i walki w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Mimo to nie ulega najmniejszej

TUNIS żąda niepodległości

„Bunt żaków” pierwsza powojenna opera polska

Krwawe wydarzenia, jakich świadkiem był ostatnio Tunis i Egipt, mówią o głębokim kryzysie systemu kolonialnego. Narody Egiptu, Algieru, Maroka, a ostatnio Tu-

statystyki z 1936 r. francuscy obszarnicy posiadali 627.700 ha gruntu, protektorat francuski 5.100.000 ha, a przeszło 3,5 milionowa ludność miejscowa posiadała tylko 3 miliony ha gor- szych gruntów. Na południu kraju panuje największa nędza.

pół miliona pozostawało bez pracy. Oświata znajduje się na niskim poziomie. Tylko co dzie- siąte dziecko uczęszcza do szkoły.

Walka o zrzućenie jarzma rozpoczęła się jeszcze przed II wojną światową. W 1938 r. do- zięło do zaburzeń przeciwko wła- dzom francuskim, które po ma- sowych aresztowaniach wpro- wadziły stan wyjątkowy, nie zniesiony do dnia dzisiejszego. Po wojnie ruchy narodowo-wy- zwolenicze przybrały na sile. Przez kraj przeszła fala straj- ków, w których robotnicy miej- scy i rolni wykazywali znaczne u- świadomienie polityczne. Ro- botnicy Tunisu, idąc za wskaza- niami Tuniskiej Partii Komun- listycznej, przyłączyli się w maju 1950 r. do Narodowego Frontu Demokratycznego, do którego weszli wszyscy patrioty bez różnicy przekonań politycz- nych i wyznania.

Wysunęto następujące hasła: likwidacja protektoratu francu- skiego, zwołanie konstytuancyj- nej narodowej i utworzenie rządu odpowiedzialnego przed Zgro- madzeniem Narodowym. Żąda- nia te poparte zostały w grud- niu roku ubiegłego strajkiem generalnym. Imperjaliści odpo- wiedzieli na strajk rozstrzela- niami masowymi, aresztowa- niami przywódców Partii Komun- listycznej Tunisu i tzw. Neo Des- tour.

Rząd francuski, chcąc osła- bić napiętą sytuację w kra- ju, zgodził się na wprowadze- nie reform. Rozpoczął długie, nużące rokowania w Paryżu, które zakończyły się nagłą zmianą stanowiska francuskie- go. Francja w porozumieniu z USA odrzuciła żądania ludności Tunisu. Wówczas przywódca Partii Neo Destour zwrócił się do ONZ, prosząc o arbitraż. Nie- stety sekretariat ONZ, działając w myśl życzeń Francji, nie przyjął petycji Tunisu. Równocześnie rząd francuski wysłał znaczne siły zbrojne do Tunisu dla „zaprowadzenia porządku”. Rozpoczęły się nowe egzekucje w miastach tuniskich. Lecz cho- ciał wśród ludności tuniskiej są już dziesiątki zabitych i setki rannych, imperialistom nie udało się stłumić ruchów nie- podległościowych. Komunisti Francji podali dłoń pomocną narodom Tunisu. Robotnicy



portowi w Marsylii odmawiają załadowywania broni i wojska przeznaczonego dla Tunisu.

Walka która rozpoczęła się w Tunisie, nie zgaśnie, gdyż stanowi jedno z licznych ogniw walk wyzwoleniczych ludów ko- lonialnych o zrzućenie niewoli i pełną niepodległość.

H. B.

Prapremiera tego pięknego widowiska operowego odbyła się w czerwcu ubiegłego roku w Państwowej Operze we Wro- cławiu i stała się wydarzeniem artystycznym dużej miary. Po- twierdziło to przedstawienie warszawskie, na którym obecny był Prezydent Rzeczypospolitej.

Temat opery oparty na zda- rzeniu historycznym w r. 1549, przekroczył tutaj ramy wypad- ku lokalnego, preradzając się w dramat o charakterze spo- łecznym.

„Zebrałem potrzebny materiał historyczny — mówi autor li- bretta Roman Brandstaetter — rozplanowałem akcję, usunąłem to wszystko, co stepało ostrość konfliktu, wprowadziłem kilka fikcyjnych postaci i zbudowa- łem plan widowiska historycz- nego, którego głównym bohate- rem miała być nie jednostka, lecz szara masa plebejskich ża- ków, walcząca o prawo do na- uki, do oświaty, o prawo dostę- pu na uniwersytet, o prawo współudziału w kształtowaniu losów Rzeczypospolitej.”

Bohaterem opery nie jest ani bakałarz Konopny, ani Król, ani żadna z osób. Bohaterem — jest społeczność studencka ówczes- nego Krakowa, walcząca o swo-

je prawa. Bunt żaków wyprze- dził o stulecie powstanie chłop- skie Kosci-Napierskiego, stał się na owe czasy mocnym pro- testem biedy skierowanym przeciwko możnym tego świata. W czasie posłuchania na Wa- welu, bakałarz Jan Konopny, w imieniu społeczności żakowskiej rzucił śmiało w oczy Zygmunto- wi Augustowi:

„Dziś miłościwy panie, wszystko się odmieniło na niekorzyść pauprów. Chłopu wolno posłać do szkół tylko jednego syna, a uczony plebejski upokorzeń i prześladowań co niemiara doznaje. Nauka przestała znać dawać uznanie i szacunek w narodzie, który splendor jeno w po- chodzeniu i złocie upatruje. Stąd, miłościwy panie, bierze się, że możny nad biednym się znęca, za nic mając jego życie i lekko sobie ważąc jego trudy i cierpienia.”

Sympatia nasza jest natural- nie po stronie plebejskich ża- ków, walczących z przemocą możnowładców, z krzywdą i uc- skiem.

Autor libretta pokazał nam przekrój całego ówczesnego społeczeństwa. Widzimy żaków, reprezentujących warstwę chłopską i drobnoplebejską; o- glądamy mieszczańskich i zamożnych; rybaków — ów- czesnych wędrownych aktorów; zafundowanych w sobie mędrców Wszechnicy Jagiellońskiej; pysznych możnowładców, od- noszących się z pogardą do biedoty, oglądamy również dumnego Króla na Wawelu.

Libretto pozwoliło kompozy- torowi Tadeuszowi Szeligow- skiemu rozwinąć muzycznie te- mat, doprowadzić muzykę to, czego nie wypowiada słowo. „Wydawało mi się — pisze o swym dziele kompozytor — że całkowita archaizacja opery była zbyt ryzykowna. Należa- ło przemówić do słuchacza współczesnym językiem wszę- dzie tam, gdzie chodziło o wy- kazanie żywotności zagadnień poruszanych w „Buncie ża- ków”. Natomiast momenty, o- pierające się na scenach z epo- ki — zabawa na Rynku, winiar- nia, teatr rybakowski — po- winny posiadać silnie zazna- czone momenty stylizowanej archaizacji, opartej na wzorach muzyki XVI i XVII wieku. Tak więc z tych założeń wynikało, że styl opery będzie na prze- میان; archaizowany i współ- czesny.”

Synek burmistrzowski zabi- ja biednego żaka, Łachmanka. Niezdecydowany Król bierze w obronę możnych. Zapada wy- rok na niekorzyść żaków, na- daremnie błagających o spra- wiedliwość. Wtedy żacy, któ- rzy wiedzą, że

„Narodu wielkość — wolność nauk!
Narodu wielkość — światło myśli!
Narodu wielkość — mądre księgi!
Narodu wielkość — bramy szkół!”

opuszczają Kraków. Odchodząc śpiewają:

Chociaż jesteś dla nas jako zła macocha,
Żak cię, Res Publico,
Wdzięcznym sercem kocha!”

Autor libretta i kompozytor twórcy związani wieloletnią działalnością z Poznaniem, od- nieśli duży sukces artystycz- ny. Dziś żądamy od naszych scen operowych, od kompozy- torów i librecistów dzieł zwi- anzanych swym wewnętrznym klimatem z naczelnymi zagad- nieniami naszego życia, dzieł doskonałych w formie, peł- nych wewnętrznej treści, dzieł, godnych naszej socjalistycznej epoki.

Widowisko operowe Tade- usza Szeligowskiego i Romana Brandstaettera zadania te speł- nia. Świadczy o tym entuzja- styczne przyjęcie, z jakim do- tychczas się spotkało.

Mimo, że akcja rozgrywa się w połowie XVI wieku, ówczes- ne krzywdy żakowskie obcho- dzą nas żywo, tak, jak żywo obchodzić nas musi walka z wszelką niesprawiedliwością.

Ludzie tamtych czasów żyją na scenie prawdziwym życiem, a Rynek Krakowski i Wawel, te symbole naszej wielkiej przeszłości, cała romantyczna nieco atmosfera starego Kra- kowa, przemawia żywo do serc i wyobraźni.

Stanisław Krokowski

Witaminy w herbacie

Herbata weszła w powszech- ne użycie nie jako napój posił- kowy, lecz przede wszystkim jako lekarstwo posiadające właściwości dodatniego oddzia- lywania na system nerwowy i serce oraz na ogólny stan orga- nizmu. Powszechnie znane jest używanie mocnej herbaty dla spędzenia senności i przywróce- nia organizmowi rześkości. Na- pój ten właściwości swoje za- wdzięcza kilku składnikom, herbacie znaleziono również inne witaminy, w szczególności witaminy B, a mianowicie: wi- taminę B1 — tiamin, witaminę B2 — riboflavin. Witaminy te rozpuszczają się w wodzie, co ma duże znaczenie, gdyż eks- trakt wodny jest tą formą, w jakiej używamy herbaty jako napoju. (ism)

go ziele witamin. Profesorowie Golanicki i Anufrejew wykryli, że liść herbaty posiada znaczną ilość witaminy C. Świeży liść herbaty ma znacznie większą ilość witaminy C, niż inne zba- dane rośliny pobudzające. Jed- nakże w procesie technologicz- nej obróbki świeżych liści her- baty, na powszechnie używaną herbatę konsumcyjną, ginie za- sadniczo część witaminy C. Wśród których pierwsze miejsce zajmuje teina i spokrewnione z nią alkaloidy, teobromia i teo- filia. Prócz alkaloidów przy za- parzaniu herbaty do wody do- stają się sole mineralne. Obec- nie uczeni radzieccy przepro- wadzili nowe badania nad her- batą, poszukując w liściach te-

MECHANICZNA WYŁADOWARKA

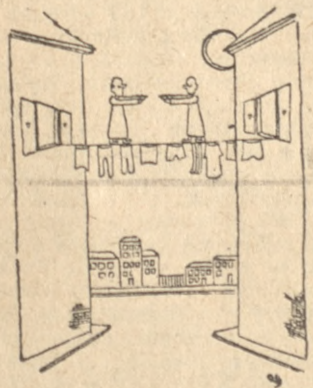
Przy przewoźie ładunków sypkich na zwykłym samochodzie ciężarowym (plat- forma o czterech bocznych bur- tach, z których zazwyczaj tylko jedna — tylna — otwiera się) wyładowanie ładunku wymaga obecności co najmniej jednego robotnika, który za pomocą szufli zesypuje ładunek na miejscu przeznaczenia. Powo- duje to dłuższy lub krótszy przestój samochodu, obniżając jego wydajność i rentowność, a poza tym trzeba mieć do dyspozycji lub ze sobą wozic personel wyładowczy.

Z góry, z góry, miły bracie!



Rozmówki w gospodzie

1. GOSĆ wchodzi do lokalu, siada, kelner zbliża się.
— Nie ma karty na stole? Proszę szybko, bo mnie się spieszy.
— ...
— Nie wybrałem? No to zaraz wybiorę. Zresztą tak czy tak będę całe lata czekał, a mnie się spieszy. Czy jest rosół?
— ...
— Naprawdę? Coś dziwnego! Niech więc będzie w ostateczności.
— ...
— Na drugie? Bo ja wiem...
— Co pan mówi? Ze jest kotlet? No jasne, coś niecoś od czasu do czasu musicie dać dla celów propagandowych. Ale chyba twarde, co?
— ...
— Ale kapusty nie ma?...
— ...



W „Arkadii” i w „Wu-Zecie”

Spółdzielnia Prześmiwców ma już dwa zakątki, gdzie bawi publiczność we wtorki i piątki.

Gromadka ta daje występy — jak wiece — we wtorki w „Arkadii”, a w piątki w „Wu-Zecie”.

Cel owych wieczorów zbawienny, choć krótki: masaż mózgowy, lekarstwo na smutek!

A jednak wśród śmiechu zapłatal się smutek: dwa równe programy, lecz różny jest skutek:

W „Arkadii” — choć mówią, że to jest „stodola” — głośniejszy dźwięk czysty roznoszą dokoła.

W „Wu-Zecie” w mikrofon wlatuje głos człowieka — w głośniejszych natomiast coś warczy i szczeka!

W „Arkadii” — choć również moc kopci tam ludu — śpiewaczkę od basów odróżni bez trudu.

W „Wu-Zecie” pomylił saksofon z autorem — w mgle żrąco-lzawiącej „gazowej komory”!

W „Arkadii” — choć i tam to, owo zasłumi — publiczność, gdy słucha, pogwarki swe tłumi.

W „Wu-Zecie” w programie ktoś mówi, ktoś coś gra, lecz w kątach przy wódkę nadają swój „program”!

Gdy już się lokalu tę nazwę wybrało — wypieścić ją treścią, bo nazwa to mało!

Naprawić w „Wu-Zecie”, by nikt się nie zgłosił: głośniejszy, wietrzniejszy, część publiczności!

WITOLD DEGLER

Janusz Ksiński

Przygoda agenta

Jack Hill — agent policji o IV grupie uposażenia — stojąc w drzwiach gabinetu szefa, przestępował niecierpliwie z nogi na nogę. Wreszcie widząc, że szef zajęty od dłuższej chwili puszczaniem zgrabnych kółek z wonnej havanny nie zwraca na niego żadnej uwagi, chrząknął raz i drugi.

Komendant leniwie zwrócił wzrok w kierunku wpułzniętego w ukłonie agenta i mruknął: — Ach, to ty, Jack.

Na twarzy Hilla pojawił się przyśmieszony, pochlebny uśmiech, lecz spłoszyło go następne, wycedzone przez pulchne usta bossa zdanie:

— Opuść się podobno w pracy, Jack! Przez przeszło dwa tygodnie nie złożyłeś żadnego, godnego uwagi raportu. Co?

Jack przeknął z trudem napływającą mu do ust — gestą jak guma do żucia, ślinę: — Ludzie zrobili się teraz tacy ostrożni...

— Ostrożni mówisz, Ostrożni!

— donośny głos komendanta zabrzmiał w duszy Jacka jak dzwon pogrzebowy. — A od czego jesteście wy, wy! Za co wam płacimy? Żeby mi się w tych dniach poprawił a jak nie... — tu szef zrobił pauzę — a jak nie to pojedziesz bratku na Koreę. A teraz marsz! — tu wymownym ruchem wskazał drzwi, patrząc obojętnie na poszarzałą twarz agenta.

Chwiejąc się na nogach Jack wyszedł na ulicę. — Na Koreę, na Koreę — powtarzał w myśli — zabiją mnie tam... zabiją... i w wyobraźni widział już swe ciało poszarpane na strzępy pościelami.

Machinalnie przystanął przed najbliższą wystawą. Z obrzmiałej witryny śmiały się sztych do niego kolorowe okładki.



Troska muzyka

Słynny muzyk francuski J. F. Rameau, będąc już na łożu śmierci, rzekł do księdza, który odspiewywał fałszywie modlitwy za umierających:

— Do kaduka! Mam nadzieję, że chóry niebieskie nie fałszują tak inaczej wolałbym iść do piekła! (ja)

U malarza

— Pański krajobraz wiejski podobny mi się bardzo i zdecydowałem się go nabyć. Ale jeden warunek. Tam na prawo przed krowami wymaluj pan barierkę.
— Barierkę? Po co?
— Dla mojej żony. Ona panicznie się boi tych zwierząt. (ja)

Grajek

Podczas krótkiego pobytu w Mediolanie, Paganini znalazł się pewnego razu na małej uliczce, trzymając pod ręką swoje ulubione skrzypce. W pewnym momencie poczuł smakowity zapach smażonej ryby. Udał się więc w kierunku restauracji, skąd dochodził ten podniecający zapach; już przekraczał próg, kiedy posłyszal ostry głos właściciela lokalu.

— Ej ty, przeczytaj co napisano na tamtej kartce!

Paganini obrócił się i przeczytał:

„Wędrownym grajkom — wstęp wzbroniony”. (ja)

ARYSTOKRATYCZNE POLOWANIE



Lady Pamilton: Najlepiej zignoruj go, kochany.

Nagle drgnął. Stojący obok niego przyzwyczajony do pogardy mruknął:

— Same comisy.

— A no tak — zareplikował — to popularniejsze od Fasta czy też Manna...

— Tumania ludzi, lotry...

Hill poczuł się nagle jak rybak, któremu ryba zaczyna szarpać przynętę. Ostrożnie — aby jej nie spłoszyć — poruszył wyimaginowaną wędkę:

— Cóż, gangsterzy i bandyci są bardziej potrzebni niż porządni ludzie. Zresztą swój ciągł do swego... wiadomo...

Sąsiad spojrział na niego uważnie i poufale szepnął: — A to pan widzi?, oczyma wskazał na brązowy plakat przedstawiający uzbrojonego mężczyznę na tle płonącej wsi. Na Koreę o chotników szukają. Szukajcie... — w głosie nieznajomego zadźwięczała ironia.

Serce Jacka biło radośnie. Bierz, bierz — śpiewał w duszy.

— A pan nie ma ochoty, co?

— Ja? — oburzył się nieznajomy. — Za kogo mnie pan masz. Zresztą — dodał po namyśle — może bym i pojechał ale na tamtą stronę...

Jack już od dłuższego czasu ścisnął spoczną z wrażenia dłoń legitymację służbową. Po tych słowach zdecydował stanowczo „dosyć” i wyjmując ją z kieszeni szepnął nieznajomemu: — Policja! Pan pójdzie ze mną.

— Ja? zdziwił się przygodny sąsiad Jacka.

— Tak. Pan. A czy myśli pan, że to panu ujdzie bezkarnie?

Nieznajomy bez słowa wyjął z kieszeni płaszcz małą czarną księżczkę i podał ją Jackowi. Uśmiech radości, jaki promieniował przed chwilą z twarzy zagrożonego wysłaniem na front agenta, zmienił się w głupekowato-zdziwiony uśmiech. Nie zaglądając do wnętrza księżczki oddał ją nieznajomemu ze słowami: — Przepaszam kolego. Pomyłka!

Przed oczyma znającemu mu znowu widmo wojny oraz własne ciało poszarpane pociskami. Damp! Nie udało się.

LALUNIA

Kubiakowa to bardzo przyjemna kobieta. Już kilkakrotnie zapraszała ją do siebie, lecz za każdym razem coś stawało na przeszkodzie. Najczęściej dziecko, bo Kubiakowa jest idealną matką i bardzo kocha swoją Lalunię. Tyle nam w biurze o niej opowiada, że wszystkie pragniemy zobaczyć ten ósmy cud świata. Pawlakowa tylko kiedyś z przekąsem zauważyła, że Kubiakowa jest więcej w swym dziecku zakochana, niż wypadła i że to na pewno Lalunię na dobre nie wydzisie. Ale Pawlakowa to herod-baba i kto by się z jej zdaniem liczył!

Przedwczoraj znowu zaprosiła Kubiakową na pogawędkę. Oczywiście z córeczką. Wprawdzie przy dziecku nie można tak swobodnie rozmawiać, lecz jeżeli to jest takie kochane dziewczętko, na pewno nie będzie nam przeszkadzać.

Lalunia jest prześliczna. Prawdziwa laleczka. Trochę mnie zask